

Kronika tygodniowa.

Kronikarz może się znaleźć czasem w bardzo nie-miełym położeniu, zwłaszcza zaś wtedy, gdy się nie może wygadać. Sądzę, zwłaszcza Szanowne Czytelniczki przynajmniej mi rację.

Coś podobnego przydarzyło mi się w ubiegłym tygodniu. Rozpisałem się zanadto o owych najnowszych wynalazkach, mających pełnić wojnę na inne tory i doprowadzić już raz do rozstrzygnięcia, by spełniły się przepowiednie polityków, iż pokój będzie zawarty przed jesienią (daj Boże, aby w tym roku!... przyp. zecera), nie mogłem przecież zakończyć tak, jak pragnąłem, gdyż pan metrapaź z energią, godną lepszej sprawy, założył znów swoje *veto* i oświadczył, że brak miejsca. Prosiłem i błagałem, by pozwolił choć na małeńki ogonek, oświadczył, że „ogonków“ ma już za dużo, że mu bokiem wylaża, więc się nie zgadza.

Chodziło mi głównie o to, by uczcić należyście pomysłów wynalazców i, skoro nie mogę ich zaproponować do nagrody Nobla, dać im w inny sposób dowód rzetelnego uznania za ich pracę dla dobra współbraci. Miałem mianowicie zamiar ogłosić subskrypcję na zakupienie dla każdego z nich po bochenku chleba (bez karty) lub parze trzewików (póki nie ustanowią cen maksymalnych na obuwiu), tego bowiem rodzaju nagrody są dziś najbardziej pożądane. Pewien jegomość na bardzo wysokim stanowisku społecznym, nie tak dawno temu, chcąc znajomej pani sprawić przyjemność, zamiast zwykłego bukietu róż lub fiołków, ofiarował jej kilogram prawdziwej wędzonki i spotkał się za ten czyn z uznaniem i pochwałą.

Nie jest to odosobniony wypadek. Czytaliśmy niedawno, iż dyrektor teatru otrzymał pakiet pięciokilowy cukru od swych przyjaciół, znakomity aktor bochenek chleba, a koleżanka jego, ulubienica publiczności... parę zelówek. Ostatnie telegramy donoszą nadto, iż w pewnym większym mieście na Morawach, artystka-amatorka, która występowała tam gościnnie, jako honorarium za bardzo udane przedstawienie otrzymała: dwa kilogramy masła, kilogram mąki, sześć kiełbas płucnych, sześć krążków innej kiełbasy, kopę jaj, cztery kilogramy „nulki“, kilogram mieszaniny, dwa kilogramy grochu, dwadzieścia kilogramów ziemniaków, kilogram soczewicy i bochenek białego chleba!

Wynagrodzenie, iście książęce... I powiadają ludzie, a nawet o tem piszą, że Galicya jest rajem, opływającą we wszystko, pokazuje się przecież, że na Morawach nie jest gorzej, jeżeli można sobie pozwolić na takie zbytki. Nie dodano jednak, czy artystka otrzymała pozwolenie, by to wywieźć z danej miejscowości.

Gdy o tem opowiedział mojej poczciwej Weronisi, westchnęła tylko żałośnie i rzekła, prawie ze łzami w oczach:

— Że też ty nie zbierasz takich dowodów uznania!...

Westchnąłem i ja, ale na tem się tylko skończyło. Obydwoje tykaliśmy ślinkę, umyślnie więc powtarzam to na tem miejscu, by w ten sposób sprawić przyjemność i P. T. Czytelnikom. Kto ma ochotę, niech także ślinkę łyka, wolno się nawet oblizać, ale tak, by nikt nie widział. Dziś już takie czasy, że nie można wobec innych użyć wykluwacza do zębów, gdyż świat gotów powiedzieć, że żyje się nad stan i chce się w ten sposób imponować innym.

Z drugiej znów strony jestem zupełnie kontent, iż tego rodzaju dowodów uznania, jak wyżej wymienione, nie zbieram, łatwo bowiem mógłbym wejść w kolizję z komisją „wachającą“, która bada od czasu do czasu zapasy po domach. Wiadomość o pojawieniu się jej w którejś z dzielnic Wielkiego Krakowa wywołuje wśród gospodyń popłoch i przerażenie, czego dowodem była interpelacja w Radzie miejskiej, postawiona przez jednego z ojców naszego grodu. Brzmiała podobno w ten sposób:

— Żona moja kazała mi zapytać się pana prezydenta, z czyjego polecenia chodzą komisye, badające po domach zapasy i co pan prezydent myśli zarządzić, by to nadal miejsca nie miało?

Pokazuje się z tego, że nie mieć zapasów jest złe, mieć je, jeszcze gorzej, nie tylko bowiem można je stracić, ale nadto wejść w konflikt z władzą i narazić się na grube nieprzyjemności.

Rezygnuję więc z podobnego uznania mych kronikarskich zasług, jakie spotkało ową morawską artystkę-amatorkę, choć nie gniewałbym się wcale, gdyby jakaś litościwa dusza obdarzyła mnie na przykład parą porządnych trzewików (oczywiście nie na drewnianych podszewkach!), zwłaszcza, że niewysłędzony dotąd zło-czyńca pozbawił mnie ostatniej pary porządnych kamaszków. Może powiedzieć o sobie, iż trafił mnie w samą piętę Achillesową. Nie wątpię, że przejdzie on nawet do historii, gdyż mój biograf, w ewentualnie napisać

się mającym mym życiorysie niezawodnie o tem wspomni, by potomność wiedziała, z jakimi kłopotami i z jakimi trudnościami miał kronikarz do walczenia w tych „brzemennych w wypadki“ czasach. Sam sobie nowego obuwiu nie sprawię, chyba dopiero po wejściu w życie rozporządzenia ministra handlu, regulującego ceny jego i produkcyę, co ma nastąpić podobno w dniu 10-go kwietnia. Na razie boję się stykać nawet z mistrzami sławnego kunsztu szewskiego, gdyż poprzysięgli mi zemstę za wzmiankę o nich w poprzedniej kronice.

Gdybym bodaj miał pewność, że wiosna się już zbliża, nie robiłbym sobie nic z tego, zdaje się przecie, że na pierwszy jej podmuch długo jeszcze czekać przyjdzie. Much nie widać, tych jej prawdziwych zwiastunek, śnieg kryje ziemię i ciągle się zwiększa, nawet mrozy nie ustają. Pokazało się, że moi łyskowie mnie zawiedli, przypuszczam, iż chyba któryś w międzyczasie kupił sobie perukę, o czem ja nie wiem, albo z dobrym skutkiem używał niezawodnej maści na porost włosów... Zestawiam więc nową dwunastkę, a jeśli i to nie pomoże, przestaję wierzyć we wszelkie prorocтва i przepowiednie.

Nie pisałbym o pogodzie i temperaturze, bo i cóż to może kogo obchodzić, skoro jednak nasze pisma polityczne poświęcają im naczelne miejsce w kronice, ciekaw jestem, dlaczego miałbym być gorszym od mych kolegów po piórze i nożycach?... Ze względu na owo „bezbucie“ i sprawy aprowizacyjne pogodą i temperaturą zajmuję się więcej nawet, niż zaostrzoną walką lodziami podwodnymi. Posiadam u siebie w domu termometr i barometr, oba instrumenty pierwszej klasy, niestety, często zawodzące. Zwłaszcza termometr raz w lecie, gdy słońce stało bardzo wysoko i prażyło, co się zmieści, spadł z gwoźdźnia na samą ziemię, no... i stłukł się. Najlepszym przecież barometrem są moje własne kolana, przepowiadające zmianę na długi czas naprzód. I teraz mówią mi, że pogoda się odmieni, spodziewać się więc chyba należy wiosennej odwilży, chyba że... bo niespodzianki, jak się już rzekło, nie są bynajmniej wykluczone.

Ale dajmy spokój pogodzie, gdyż na politykę brakłoby znowu miejsca, a z panem metrapaźem „nie da rady“, zwłaszcza teraz, gdy znajduje się on w przededniu „musterunku“. Biedaczysko kłopotci się, gdyż nie wie, czy go wezmą, czy nie. Wolałby, zdaje się, „nie“, choć z drugiej strony wstyd go znów wobec pleci nadobnej, która może łatwo powiedzieć:

— Co, to ma być mężczyzna?... Nawet do land-szturmu niezdatny!

Ze spraw politycznych mam zaś obowiązek poruszyć o pierwszej linii namysłu się Ameryki, co ma zrobić, wypowiedzieć wojnę Niemcom, czy nie? — Na razie podobno zbroją Staniarze swoje okręty handlowe i urządzają patryotyczne manifestacye celem podniesienia ducha i zyskania kredytów wojennych, sufrażystki natomiast przycupnęły i nie o nich jakoś nie słychać. Być może odezwą się, gdy przyjdzie czas. Co do samego pana Wilsona, owego byłego anioła pokoju, to z bólem serca wspomnieć należy, iż zachorzał i musiał z polecenia żony i lekarzy położyć się do łóżka, gdzie oczekuje rozwiązania. Proszę sobie tego źle nie tłumaczyć, mam bowiem tylko rozwiązanie politycznych kwestyi na myśli, a nie żadne inne.

Ogólna ofenzywa jest podobno już w przygotowaniu, choć coś tam na zachodnim froncie popsowało się Anglikom, tak, iż na nowe przygotowania potrzebują jeszcze dodatkowo około dwu miesięcy, więc z tego powodu nie mogłaby się już nazywać „wiosenną“, ale chyba „letnią“. A ma ona być bardzo energiczną i podjętą równocześnie na wszystkich frontach. Włosi dziś już wspominają o marszu Moskali na Kraków. Widocznie po konferencji wspólnej w Petersburgu i Calais spuścili z tonu, dotąd bowiem zawsze celem ich był co najmniej Wiedeń lub Berlin. Widocznie zmienili orientacyę, co sie także czasem zdarza. Cała ich nadzieja teraz w Chinach, które koalicja stara się wszelkimi siłami wciągnąć w spółkę i obiecuje złote góry, jeżeli zechcą zerwać z Niemcami stosunki dyplomatyczne. A oni sami nie wiedzą, co robić. Propozycya i obietnice nęca ich, co prawda, ale z drugiej strony obawiają się też trochę, gdyż wówczas stracą i tą resztkę wolnej woli, jaką jeszcze mają i będą zmuszeni przejść w zupełności pod komendę Anglii, a temsamem może łatwo sprawdzić się na nich stare przysłowie: „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły“.

Czy jaki wpływ na sytuacyę mieć będzie utworzenie zapowiedzianej floty szwajcarskiej, dotąd nie wiemy. Na razie będzie to zapewne tylko flota handlowa. Admirał szwajcarski, zuany dotąd tylko z operetki, stanie się wówczas rzeczywistością.

O Meksyku nie mogę nic powiedzieć, wobec czego odkładam ten punkt porządku dziennego na późniejsze czasy, gdy się sprawa wyklaruje. Pisałem w tej sprawie do tamtejszego prezydenta, załączyłem nawet markę na odpowiedź, ale dotąd jej nie otrzymałem. Gdyby

przypadkowo zdarzyło się tam coś ważnego, dowiedzą się o tem Czytelnicy z pism codziennych, a i ja to może powtórzę, jeśli *nota bene*, będzie na to zasługiwało. Jest to w każdym razie kwestya drugorzędna, a może nawet trzeciorzędna znaczenia. Z Meksykiem nie liczył się nikt zbyt i nie liczy, nawet wmieszanie się jego we walkę szali zwycięstwa na żadną stronę nie przechyli.

To jest kwintesencya polityki z ubiegłego tygodnia. Omawia się ją w knajpkach przy cieniaku a drogiem piwku, nie wiem, dlaczego nazywającem się „pilznerem“ i puszczając wonne dymki, przypominające swym zapachem, także nie wiem czemu, zeszłoroczne kasztany. Być może, iż rzeczywiście one to stanowią ów wojenny surogat tytoniowy, zapowiedziany swojego czasu w orędziu do narodu. Zapytywałem o to pewnego radcę skarbowego i znajomego funkcyjnarusa z fabryki cygar, obaj zasłonili się tajemnicą urzędową, wobec czego więcej na nich nie nalegałem. Cygara, papierosy i tytoń są przecież tak teraz drogie, iż nikt nie powinien narzekać, że nie smakują mu, wiadomo bowiem, że „co drogie, to dobre“. Tak nas przynajmniej uczyli nasi ojcowie.

Aby to trzecie z rzędu rozmyślanie wielkopostne było naprawdę żalosnem, pozwolę sobie powtórzyć za „Kurierem“ rzecz o protekcyi, będącą, zwłaszcza u nas, zawsze na czasie. Plagę protekcyjizmu odczuwają u nas przedewszystkiem ludzie na wyższych stanowiskach i zamożni, mający znaczenie i stosunki. Rzeczywiście trudno nieraz oprzeć się prośbom przyjaciół, błaganiom pięknych pań, często łzom... Święta prawda!... Sam kronikarz był nieraz już w tem nieprzyjemnem, a przecież czasem i przyjemnem położeniu.

Na dobry sposób wpadł jednak prezydent miasta Warszawy, książę Lubomirski. Jako antidotum na protekcyjnych ma na biurku tabliczkę, na której wypisano:

„Kto protekcyę chce zwalczać, nie może sam jej stosować“.

I w danej chwili posługuje się nią książę prezydent, co podobno odnosi zwykle skutek.

„Przykład prezydenta Warszawy godny jest naśladowania także — gdzieindziej...“ kończy *Kurier* i dodaje trzy kropki. Czytelnik niech sobie resztę w duszy sam dośpiewa!...

Kronikarz dośpiewał już sobie i dla rozweselenia smutnych P. T. Czytelników powtarza bajeczkę, którą słyszał niedawno:

Raz prowadzono przez ulicę osła. Jest to zwierzę, jak wiadomo z zoologii, bardzo uparte i zawsze chcące postawić na swoim. Tak się i wówczas działo. Przewodnik chciał, by osioł szedł naprzód, ten znów miał inne zamiary, wobec czego nie mogli się w żaden sposób pogodzić. Osioł wierzgał, przewodnik, nie widząc policyanta, bił batem, ale to nic nie pomogło. Osioł postanowił nie zmienić tak prędko orientacyi. Gdy mu było już za dużo, wyrwał się z rąk przewodnika i w figlarnych podskokach podążył prosto w drzwi poważnego budynku, gdzie mieściła się pewna instytucya. Tutaj dostał się na podwórze, na które wychodziło także okno, a z niego wyglądało, pałac papierosy, dwu urzędników tej instytucyi, nie wiedząc, w jaki inny sposób zabić czas urzędowania. Gdy zoczyli osła, szurującego wprost na podwórze, rzekł jeden do drugiego z uśmiechem:

— Patrz! To pierwszy osioł, który się tutaj dostał bez protekcyi!

I na tem koniec bajki, a sens z niej taki, że się kicha bez tabaki, ho, po pierwsze, tabaka droga, a po drugie, brak jej zupełny.

Wszystko to jednak, razem wzięte, niczem jest w porównaniu (pomyśli kto może „z kiszonymi ogórkami“) z wojną, jaką na śmierć i życie prowadzą ze sobą krakowscy fabrykanci tutek cygaretowych na łamach naszych pism codziennych. Wynaleźli sobie bezpieczne odcinki, nazywające się „Nadesłane“ i prażą się stamtąd wzajemnie, niczem z karabinów maszynowych. — Zaciętość, z jaką toczą walkę, nie jest wcale mniejszą od owej, jaką możemy spostrzedz na wszystkich frontach europejskich, a podkład i tu i tam jednakowy, zagrożony interes i obawa przed konkurencyą. Wchodzą tu także w grę i państwa neutralne. W danym wypadku są niemi administracye dzienników, mające wcale piękny profit z tego bibulasto-tutkowego zmagania się przeciwników.

W ostatniej chwili, gdy miał już schować miecz do pochwy, a pióro kronikarskie do szuflady, dowiaduję się z niemałym strachem, iż pan Roosevelt, były prezydent Stanów Zjednoczonych, uzbiera na gwałt swój legion i wybiera się z nim do Europy. Niech z drugiej strony wpadną sufrażystki nowojorskie, może być z nami źle, albo nawet jeszcze gorzej!... — Dwa te czynniki muszą wpłynąć stanowczo na poprawę szans koalicyi!

Niech się zresztą stanie, co się ma stać, byle wojna raz się już skończyła!